



BOSO I W KUFAJCE

Dzięki robotniczemu doświadczeniu zwolniony byłem po pierwszym roku ze studenckiej praktyki robotniczej

Rozmawia Paweł Kozłowski

GRZEGORZ W. KOŁODKO

– Trafiłem na studia ekonomiczne w warszawskiej Szkole Głównej Planowania i Statystyki i zacząłem zastanawiać się nad gospodarką. Czas szybko płynął, włączyłem się aktywnie w życie studenckie, od razu wszedłem w skład Rady Wydziałowej Zrzeszenia Studentów Polskich na Wydziale Ekonomiki Produkcji. Równie szybko, bo już pod koniec III semestru, zostałem przewodniczącym Komisji Kultury Rady Uczelnianej ZSP, a nieco później najmłodszym w historii uczelni przewodniczącym Rady Uczelnianej. To był listopad 1970 r. Długo nim nie byłem, bo już po roku zostałem zmuszony do podania się do dymisji, gdyż oblałem egzamin z języka angielskiego.

Pan profesor oblał egzamin?! I to z angielskiego, w którym pisze pan książki dla Oxford University Press?

– Piszę teraz, a wtedy nawet nie pisałem tamtego egzaminu, więc oblało mnie – dzięki pani dziekan – niejako eksternistycznie. I na dodatek zostałem skierowany na repetę. Jednakże wziąłem się w garść, zrobiłem dwa lata studiów w jeden rok, napisałem pracę magisterską ocenioną na bardzo dobry, studia ukończyłem w terminie. Być może w tym „oblaniu” egzaminu i niby-powtarzaniu roku był jakiś wątek polityczny, bo nie wszystkim podobało się to, że byłem demokratycznie wybranym szefem największej organizacji studenckiej, ale choć wtedy bardzo to przeżywałem, zdecydowanie wyszło mi to na dobre. Gdybym dotrwał do końca kadencji, w cuglach awansowałbym do Rady Okręgowej albo od razu do Rady Naczelnej, zważywszy na pozycję SGPIS, i – o zgrozo! – zostałbym etatowym działaczem, w pierw studenckim, a potem kto wie, co jeszcze... A tak spotkało to mojego następcę.

ZE STOCZNIOWCAMI PRZY PIWIE

No ale oprócz imprez i zebrań ZSP były jeszcze jakieś zajęcia dydaktyczne – wykłady, ćwiczenia, seminaria...

– W październiku 1970 r. trafiłem – z własnego, świadomego wyboru – na seminarium magisterskie profesora Maksymiliana Pohorillego. Nie pamiętam pierwszej książki, ale pierwszy wykład, który mnie zafascynował, to był właśnie dwa lata wcześniej wykład z ekonomii politycznej kapitalizmu u mojego późniejszego promotora. Dopiero wtedy zacząłem pojmować, czym na dobrą sprawę jest ekonomia, i to był prawdziwy początek mojego zainteresowania się ekonomią stricte, to znaczy makroekonomią, teorią ekonomii, ekonomią polityczną, polityką gospodarczą. Mikroekonomia mniej mnie pociągała. Byłem studentem Wydziału Ekonomiki Produkcji i w związku z tym, że każdy musiał być na jakimś kierunku, ubiegając się o indeks, wybrałem ekonomikę budownictwa. Zbliżało mnie to w jakimś stopniu do tradycji rodzinnych

Na studia udało mi się dostać dopiero przy drugim podejściu, za pierwszym razem towarzystwo egzaminujące się na mnie nie poznało...

– ojciec był inżynierem budownictwa, brat – technikiem, ja zaś przez rok pracowałem jako robotnik na budowie tunelu pod Dworcem Głównym w Gdańsku i przy remoncie wiaduktu Błędnik obok tegoż dworca.

Wspomnę, że podczas dużej przerwy chodziliśmy na piwo i wtedy my, budowlańcy, właśnie przy piwku w dworcowym bufecie spotykaliśmy przychodzących z drugiej strony dworca gdańskich stoczniowców, którzy już wkrótce mieli stać się znani na całym świecie. Pamiętam nasze ówczesne dyskusje, nasze oburzenie, kiedy podrożało piwo, które nie dość, że drogie, to jeszcze zawsze było ciepłe; jeśli w ogóle było. Kufel piwa kosztował już nie 3 zł, ale 3,60 i zarówno robotnicy z tunelu, jak i stoczniowcy ze Stoczni Lenina klęli na rząd, że podnosi ceny.

Już wtedy zadawałem sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego drożeje? Dlaczego bywa, a nie jest?

To były przełomowe lata. Nie tylko w moim życiorysie, bo skończyłem ogólniak, byłem robotnikiem, zostałem studentem. Zanim nastąpił Grudzień '70, który biegiem życiowych i historycznych okoliczności przeżywałem na uczelni – już jako przewodniczący Rady Uczelnianej ZSP – wcześniej był Marzec '68. Wtedy mało się jeszcze interesowałem gospodarką i ekonomią, a zdecydowanie bardziej polityką. W marcu byłem nie w Warszawie, lecz w Gdańsku, ale już w przeddzień imienin siostry, Gabrieli, czyli 23 marca, byłem w stolicy. U schyłku 1970 r. było podobnie; w czasie pamiętnych zajęć byłem nie w Trójmieście, lecz w Warszawie, ale już pierwszego dnia zimy, 21 grudnia, byłem na Wybrzeżu.

W marcu 1968 r. byłem proletariuszem, robotnikiem – „robolem”, jak mawiano – który „tymi rękami” budował przejście z Dworca Głównego na ulicę 3 Maja, i chodziłem, też coś czasami pokrzykując, w trójkącie: gdański Klub Studentów „Żak”, Dom Prasy na Targu Węglowym, gdzie mieściły się redakcje ówczesnego „Dziennika Bałtyckiego” i „Głosu Wybrzeża”, oraz Dom Partii, który ponad dwa i pół roku później został podpalony już nie przez studentów, ale przez robotników.

Na wymarzone studia udało mi się dostać dopiero przy drugim podejściu, za pierwszym razem bowiem towarzystwo egzaminujące się na mnie nie poznało... W 1967 r. zdawałem na Wydział Handlu Zagranicznego, ale nie zostałem przyjęty; najprawdopodobniej moją pracę sprawdzał jakiś leniwy asystent. Pra-



ce miały być krótkie, a moja była długa, chyba czytać mu się tego nie chciało... Pisałem egzamin z historii, a konkretnie o ekonomicznych konsekwencjach I wojny światowej. Można powiedzieć, że to była moja pierwsza praca ekonomiczna. Żałuję, że jej nie mam, bo uważam, iż napisałem naprawdę niezłe wypracowanie, a ktoś anonimowy postawił bardzo niską ocenę, pozbawiając mnie szansy na rozpoczęcie studiów w 1967 r. Dlatego właśnie Marzec przeżywałem nie w Warszawie, ale w Gdańsku. Mówię o tym, bo takie wydarzenia mogły mieć wpływ na to, co się potem działo.

Wspomniałem o siostrze. Gabrynia – bo tak ją nazywam – studiowała na psychologii, która została rozwiązana w ramach represji marcowych, ale od razu przeprowadzano powtórny rekrutację-weryfikację. Właśnie w tamtym czasie, jakby w oku cyklonu, odwiedziłem ją, waletując w akademiku studentek psychologii UW (tak, tak, w żeńskim) na Madalińskiego.

Tak przy okazji: już dwa i pół roku później sam zakwaterowałem się w akademiku (męskim) SGPiS o 200 m dalej, gdzie teraz są katedry, instytuty, uczelniane biura i gdzie moja żona, Alicja, pracuje jako redaktor prowadzący „Kwartalnika Nauk o Przedsiębiorstwie”, a między tymi akademikami w klinice położniczej urodziła się nasza młodsza córka, też Gabriela...

Z ROBOTNIKA STUDENT

Small world! Ale wróćmy do tego wielkiego. Wtedy chyba po raz pierwszy zetknął się pan z polityką praktyczną.

– To wszystko powodowało, że zacząłem interesować się polityką w zupełnie innym aspekcie. Już wcześniej zdawałem sobie sprawę z tego, że w tym samym czasie na świecie dzieje się wiele innych ciekawych rzeczy. Do tej pory mam bardzo mocno zapisane w pamięci obrazy pierwszej w dziejach transoceanicznej transmisji telewizyjnej – to była transmisja z pogrzebu Johna F. Kennedy’ego. 21 listopada 1963 r. byłem na koncercie Paula Anki w jeszcze wówczas istniejącej hali Stoczni Gdańskiej. Gdy kanadyjski gwiazdor piosenki przyjechał do Polski na dwa koncerty, ja miałem zaledwie 14 lat. Drugi z koncertów, nazajutrz w Warszawie, został przerwany, bo z Dallas nadeszła informacja o zamordowaniu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na marginesie, Paul Anka nawiązał do tego, gdy ponownie wystąpił w Sali

Kongresowej w Warszawie w końcu 2011 r. Byłem i na tym koncercie.

Mając za sobą epizod robotniczy, zapewne łatwiej było dostać się na studia z punktami „za pochodzenie”.

– Bynajmniej. Bardzo dobrze zdałem egzaminy wstępne i żadnych dodatkowych punktów nie otrzymałem. Pochodzenie mam porządne; ojciec był inżynierem i odkąd pamiętam, pracował w Gdańskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Komunalnego, a mama zajmowała się prowadzeniem domu. Za to dzięki robotniczemu doświadczeniu zwolniony byłem po pierwszym roku studiów z dobrodziejstwa studenckiej praktyki robotniczej – tej pomarcowej formy edukacji czy może raczej reedukacji młodzieży wywodzącej się ze środowisk inteligentnych.

Krażą legendy, że chodził pan w kufajce. To prawda?

– Najprawdziwsza. Z robotnika z Wybrzeża natychmiast przeistoczyłem się w stołecznego studenta. Do Warszawy przyjechałem w nowym waciaku – elegancki był, ze stojącym kołnierzem – który dano mi na budowie na pożegnanie. Przychodziłem w nim na uczelnię, chodziłem po mieście, na co zwracano uwagę. To była taka moja osobista manifestacja sojuszu robotniczo-inteligenckiego, którego ewidentnie zabrakło w Marcu. Szykowna była ta kufajka, zwłaszcza na tle jakże modnych wtedy kozuchów, które kochali nosić warszawiacy.

Studia zaczął pan w kufajce, ale skończył pracą magisterską.

– Tak, wtedy chodziłem po mieście boso i tak też zaniósłem profesorowi Pohorillemu pracę magisterską latem 1972 r.

Fragment książki *Droga do teraz*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2014

GRZEGORZ W. KOŁODKO

Droga do teraz

Z profesorem Grzegorzem W. Kołodko rozmawia profesor Paweł Kozłowski

Prawda w oczy! Po bestsellerowej trylogii: „Wędrujący świat”, „Świat na wyciągnięcie ręki” i „Dokąd zmierza świat”, wybitny ekonomista, profesor Grzegorz W. Kołodko, zaskakuje czytelników niezwykłą, szczerą opowieścią o swojej własnej historii – historii ściśle związanej z polską transformacją i towarzyszącymi jej reformami, a także z polityką. Z pasją polemizuje z utartymi poglądami, skrupulatnie analizuje proces przemian i bezlitośnie rozprawia się z popełnionymi w jego trakcie błędami. Mierząc się z pytaniami, jakie stawia nam teraźniejszość, wyjaśnia, jak zła inżynieria ekonomiczna przyczyniła się do obecnego kryzysu i dlaczego w ekonomii przyszłości matematycznym wzorom powinna towarzyszyć głęboka filozoficzna refleksja.

Grzegorz Kołodko wydaje mi się przypadkiem szczególnym. Chyba się w żadnym stadzie nie mieści i do żadnego stada nie pasuje. To jest osobny człowiek. Myślę, że może raczej być punktem orientacyjnym niż jakimś zwornikiem. Koledzy ekonomiści patrzą na niego i pewnie sobie myślą: skoro się okazuje, że tyle razy to Kołodko miał rację, a nie Balcerowicz i jego drużyna, to może warto też słuchać, co dziś Kołodko mówi. Bo pewnie znów ma rację. Tak powstaje ta nowa chmura w polskiej ekonomii i debacie ekonomicznej.

Jacek Zakowski, „Polityka”

...nie tylko ekonomista, ale również znakomity socjolog i politolog. Jednym słowem, intelektualista i erudyta dysponujący wszechstronną wiedzą o gospodarce i społeczeństwie. I wizją lepszego świata. Wszystko to poświadcza, że profesor Grzegorz W. Kołodko jest autentycznym człowiekiem renesansu.

prof. Maria Jarosz, socjolog, Polska Akademia Nauk



W sprzedaży od 14 października

Książka do nabycia w dobrych księgarniach na terenie całego kraju oraz na www.ksiegarnia.proszynski.pl